

## Rozdział pierwszy

Kierowca ciężarówki zatrzymał się na ulicy Lamartine, po stronie nieparzystych numerów. Po raz pierwszy w życiu odwiedziłam rodzinne miasto matki i też czułam się nie do pary. Tylko pomyśleć – przez pierwsze siedem lat życia mieszkałam na innym kontynencie, a teraz jej dom znajdował się tuż obok – zaledwie kilkaset metrów stąd.

Niewiarygodne.

*Dlaczego nie poprosiłaś kierowcy, żeby wysadził cię tuż przed właściwym budynkiem?*, spytał z irytacją tatko, tak jakby to on teraz wypatrywał właściwej tabliczki w ciemnościach.

– Muszę się do niej podkraść – wyszeptalam, nie chcąc zakłócać nocnej ciszy – inaczej pęknie mi serce.

*Jaki jest numer domu?*

– 1821 – odparłam, mijając skrzynki na listy w kształcie zamków i pirackich okrętów z namalowanymi numerkami. Wyłowiłam z plecaka kieszonkową latarkę, żeby je odczytać. Na ulicy świeciło niewiele latarni, a niebo zasnuwały teraz ciężkie, smoliste chmury, zasłaniając pomocny blask księżyca.

Portero to niewielkie miasteczko leżące we Wschodnim Teksasie, na obrzeżu lasu Piney Woods; wszędzie widać splecione korony wielkich dębów i sosen. Ale tutaj, przy Lamartine, drzewa zostały ujarzmione – otoczone ozdobnymi parkanami i obwieszone huśtawkami.

– Ładnie tutaj, prawda?

*Podejrzanie ładnie*, zgodził się tatko. *Gdzie są rzeźnie? Ropa wylewająca się z każdej dziury w ziemi? Gdzie ogień i siarka?*

– Nie bądź złośliwy, tatku. Założę się, że nie jest wcale taka zła.

*Nie?* Głos tatka zabrzmiał niepokojąco, jak zawsze gdy mówił o matce. *Różane krzewy i ozdobne skrzynki zupełnie nie pasują do jej natury. Nigdy nie sądziłem, że zamieszka w takim miejscu. To nie w jej stylu.*

– Może się zmieniła?

*Ha!*

– A zatem pomogę jej się zmienić – odparłam, mijając skrzynkę w kształcie kurczaka. – 1817.

Czyżby było już tak blisko?

Kilka kroków później znalazłam się już bliżej niż blisko – na miejscu. 1821.

Dom matki wznosił się na środku wielkiego trawnika. Inne budynki stały w oddaleniu, jakby nie chciały mieć z nim nic wspólnego, żaden nie przylegał nawet do garażu. W ogródku rosło samotne drzewo – ambrowiec balsamiczny – nagie i brzydkie, w niczym nie przypominało bujnych, rozłożystych okazów u sąsiadów. Jej skrzynka była prosta i zwyczajna, a parkan otaczający działkę – wysoki i nieprzyjazny.

*Aha!*, stwierdził tatko z mściwą radością. *To rozumiem.*

Udając, że go nie słyszę, przekroczyłam bramę i wspierałam się po schodkach na taras. Drzwi z moskitiery nie były zamknięte – nie dostrzegłam nawet zamka – więc weszłam na ciemny ganek i usiadłam na fotelu ogrodowym stojącym po lewej. Siedziałam tam przez dłuższy czas, próbując złapać oddech. Wdech, wydech. Wdech...

*Marnujesz czas, Hanno.*

Przycisnęłam dłonie do brzucha, próbując opanować nerwowe skurcze. Spojrzałam na ciemny prostokąt drzwi wejściowych, myśląc o tym, co znajduje się po drugiej stronie.

– Myślisz, że ucieszysz się na mój widok? – spytałam. – Chociaż trochę?

*Jeśli w tej chwili nie zmienisz nastawienia, to na pewno nie. Gdzie się podział twój hart ducha?*

– A jeśli nie uwierzy, że jestem jej córką?

*Wygładasz jak skóra zdarta z Rosalee, mówiłem ci to setki razy. A teraz przestań marudzić i idź się przedstawić.*

Tatko zawsze wiedział, jak przywołać mnie do porządku.

– Racja – odparłam zdecydowanie. Wygładziłam sukienkę, zarzuciłam plecak na ramię, podeszłam do drzwi i uniosłam pięść, żeby...

*NIE!*, tatko krzyknął tak głośno, że zadźwięczało mi w głowie. *Nie pukaj. Jest już po północy. Obudzisz ją, a tuż po przebudzeniu bywa bardzo zła.*

– Jak bardzo? – spytałam, przykładając dłoń do obolałej skroni.

*Tak bardzo jak ty.*

Oho.

W dziewięciu przypadkach na dziesięć budziłam się sama, nawet bez pomocy budzika, ale jeśli wyrwano mnie ze snu... zachowywałam się nieciekawie. Podobno odziedziczyłam tę cechę po matce.

Ekstra.

*Po prostu wejdz.* Rady tatka zawsze były niewzruszone jak skała. *Przecież to prawie twój dom.*

Przykłękałam na tarasie, czując, jak deski wbijają mi się w gołe kolana, i uniosłam wycieraczkę. W świetle latarki załśnił mały klucz z brązu.

Zapasowy klucz.

– Takie rzeczy to tylko w małym miasteczku – szepnęłam i chwyciłam go zachłannie.

Otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się do środka.

Pośrodku pokoju widniała czerwona lampa stojąca, do której przymocowano reflektorki. Jeden z nich świecił chłodnym światłem, tak jakby matka spodziewała się, że przyjadę, i specjalnie nie wyłączała go na noc.

Nie licząc czerwonej chryzantemy w szklanym wazonie na kominku i czerwonej poduszki rzuconej na jedyny fotel, tuż obok lampy, salonik urządzono w bieli i błękicie.

Bardzo nowoczesny styl, taki jaki lubił tatko...

*Wciąż lubię,* dodał.

...dlatego natychmiast poczułam się jak w domu.

Poczułam też nadzieję.

Wsunęłam zapasowy klucz do kieszeni sukienki i wkroczyłam w krótki korytarz, słuchając, jak obcasy melodyjnie postukują na drewnianej posadzce. Kolejno przyłożyłam ucho do każdych drzwi, aż w końcu zza trzecich doleciał równy, głęboki dźwięk.

Oddech matki. Delikatny i spokojny, całkiem jakby powietrze, które wciągała do płuc, było tu czystsze niż gdzie indziej.

Przez chwilę stałam w progu, próbując dopasować swój rytm oddechu do niej, aż w końcu zaczęło mnie szczytać w uszach z wysiłku.

W zamyśleniu dotknęłam mosiężnej klamki.

*Nie, już ci mówiłem,* odparł z uporem tatko. *Musisz sprawić, by sama do ciebie przyszła.*

– Mam pomysł – szepnęłam w odpowiedzi.

Przeszłam do kuchni i znalazłam włącznik światła tuż za drzwiami. Kuchnia, podobnie jak salonik, była utrzymana w kolorystyce biało-niebieskiej. Jedyny barwny akcent zapewniało czerwone krzesło i moja fioletowa sukienka.

Postawiłam plecak koło krzesła i rozejrzałam się wokół. W końcu znalazłam talerze, pieczywo i żółty ser. Zabrałam się do robienia grzanek z serem i celowo nie starałam się zachować ciszy. Właśnie przejechałam ponad sto mil, łapiąc na stopa trzy rozlatujące się gruchoty i jednego tira-cysterne, tylko po to, by rozkoszować się obecnością mamy, ale ona zjawiła się dopiero, gdy wykladałam jedzenie na talerz.

Babcia Annikki powiedziała mi kiedyś, że człowiek, który spojrzałby w twarz Boga, natychmiast padłby martwy. Patrząc w twarz matki – po raz pierwszy w życiu – zastanawiałam się, czy to dlatego, że Bóg jest piękny.

Odziedziczyłam po niej sylwetkę w kształcie klepsydry, ten sam orzechowy odcień cery i identyczną burzę loków. Moje miały jednak kapryśny odcień brązu, tymczasem włosy matki były czarne jak noc.

*Włosy wyspiarek,* szepnął z podziwem tatko.

Sunęła w moim kierunku, bosa, ubrana w czerwoną koszulę nocną, i zdawało się, że samą obecnością zakrzywia przestrzeń wokół. Jej wargi były zacięte, naturalnie różowe i pełne. Tak jak moje. Kąciki ust opadały, nadając nam nieco rozpieszczony wygląd.

– Włamałaś się do mojego domu tylko po to, by zrobić sobie kolację? – wycedziła. Mocny teksański akcent sprawiał, że każdy sylaba ciągnęła się niczym guma do żucia. – Mam nadzieję, że to tylko sen, dziewczynko.

– To nie sen. Jestem twoją córką.

Przyłożyła dłonie do piersi i zacisnęła je na koszuli, w miejscu gdzie biło serce. Poza tym nawet nie drgnęła. Jej oczy, czarne jak smoła, zmierzyły mnie ostrym spojrzeniem.

– Moja córka jest w Finlandii – wyszeptała z niedowierzaniem.

– Już od lat mieszkam w Stanach. A teraz przyjechałam tutaj. – Wyciągnęłam ręce, żeby jej dotknąć albo ją uścisnąć – każdy kontakt byłby cudowny – ale cofnęła się, a jej zacięte usta skrzywiły się lekko, gdy wymówiła moje imię:

– Hanna?

– Tak.

– Boże! – jęknęła, jakby sama mnie rozpoznała. – Oczy masz po ojcu.

– Wiem – odparłam, wciąż chłonąc podobieństwa między nami. – Ale niewiele poza tym.

Rosalee odwróciła się ode mnie, szarpiąc się za włosy, jakby chciała je wyrwać.

– Dlaczego przyjechałaś tu w środku nocy? I to sama? Ojciec ci na to pozwolił? Odbiło mu?

– Zmarł w zeszłym roku.

Kobieta cofnęła rękę i włosy opadły jej na twarz. Nawet jeżeli pojawił się na niej wyraz żalu czy smutku, to go nie widziałam. Po dłuższej chwili ominęła mnie i podeszła do okna.

– Jeśli zmarł w zeszłym roku, to dlaczego przyjechałaś dopiero teraz? Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

Usiadłam na czerwonym krześle, którego kolor straszliwie gryzł się z fioletową suknią.

– Znalazłam w biurku tatka pocztówkę, którą do niego wysłałaś. To było dziewięć lat temu, miesiąc przed naszą przeprowadzką do Stanów – wyjaśniłam.

Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam poźółkłą widokówkę. Po jednej stronie znajdowało się zdjęcie placu Fountain Square, gdzieś w Portero. Po drugiej wypisano nasz stary adres w Helsinkach i jedno jedyne słowo: „NIE”.

Pokazałam jej kartkę.

– O co chodziło?

Rosalee spojrzała na pocztówkę, ale nie wzięła jej do ręki. Oparła się plecami o szybę i stała na tle ciemnego nieba.

– Już nie pamiętam, czego chciał twój ojciec. Może pytał, czy za niego wyjdę albo czy przyjadę, albo czy was kocham. A może o wszystkie te rzeczy. Odpowiedziałam „nie” na wszystkie.

Odłożyłam kartkę.

– Kiedy wraz z tatkiem przeprowadziliśmy się do Dallas, tuż po przyjeździe poszłam do biblioteki publicznej i sprawdziłam twoje nazwisko w książce telefonicznej Portero.

Pamiętam, że poczułam dreszcz, gdy zobaczyłam jej imię i nazwisko w druku i przekonałam się, że Rosalee Price naprawdę istnieje, a nie jest jedynie legendą, którą wymyślił tatko, żeby mnie pocieszyć.

– Zapamiętałam twój adres i numer telefonu. Przez dziewięć lat recytowałam je w myślach przed zaśnięciem jak kołysankę. Dopóki tatko żył, nie próbowałam się z tobą kontaktować, bo ostrzegał, czym to się może skończyć. Dlatego dzisiaj przyjechałam prosto do ciebie – żebyś nie mogła mi odmówić.

Rosalee wpatrywała się we mnie, zastygła w bezruchu niczym wąż, najwyraźniej nieporuszona przemową.

– U kogo zamieszkałaś, gdy zmarł ojciec?

– U ciotki Ulli, jego siostry.

– A ona wie, że tu jesteś?

– Nawet stopy mamy identyczne.

– Co?

Zdjęłam fioletowe czółenka i pokazałam jej swoje chude stopy, z długimi palcami i wysokim podbiciem.

– Pytałam o twoją ciotkę. – Rosalee pozostała nieustępliwa.

Wpatrywałam się w nasze białe stopy, tak blisko siebie, złociste na tle lodowatej posadzki w kuchni.

– Nie wiedziałam, że jestem do ciebie podobna. Ale tatko zapewniał, że tak. Wiedziałałam tylko, że nie przypominam nikogo z jego rodziny. Oni wszyscy są wysocy, mają jasne włosy i bladą cerę, jak lisy polarne. Ja jestem wysoka, ale nie aż tak, mam ciemne włosy i skórę brązową jak cukier trzcinowy. Tak jak ty. Babcia Annikki mówiła, że gdyby nie szare oczy, to nikt nie uwierzyłby, że należę do rodziny. To prawda – należałam do nich, ale należę też do ciebie. Bardzo chciałabym się dowiedzieć czegoś o tobie.

*Nie udawaj Pollyanny. Nie zrobisz na niej wrażenia, ostrzegł tatko.*

A jednak zrobiłam. W miarę jak mówiłam, Rosalee znów zaczęła na mnie zerkać. Jej zainteresowanie wydawało mi się niepokojące, ale i tak lepsze niż otwarta wrogość.

– Tatko opowiedział mi parę rzeczy. Mówił, że jesteś bardzo piękna, ale zaraz potem zaczynał cię przeklinać i powtarzać, że nie masz serca. Dlatego czasem wyobrażałam sobie siebie jako Kopciuszkę zombi – bladą i zielonkawą w pięknej sukni. Masz jakąś balową suknię? Jeśli nie, to mogłabym ci uszyć. Uszyłam wszystkie swoje ubrania, tę sukienkę też. Urocza, prawda? – Wstałam, żeby mogła ją obejrzeć. – Czuję się w niej zupełnie jak Alicja. A jeśli ja jestem Alicją, to Portero jest Krainą Czarów, a ty Białym Królikiem – bardzo chciałabym cię odnaleźć, ale wciąż mi umykasz.

– Dlaczego masz krew na sukience?

A zatem stąd jej przenikliwe spojrzenie. Wcale nie interesowała się mną ani tym, co mówię, tylko plamami krwi. Spojrzałam na dwie ciemne smugi w okolicy talii.

*Pollyanna w zakrwawionej sukience*, stwierdził z politowaniem tatko. *Mówiłem, żebyś się przebrała.*

Znów opadłam na krzesło, czując, jak obfite spódnice wirują wokół kolan, i nie pozwalając, by pesymizm tatka zbił mnie z tropu.

– Dlaczego uważasz, że to krew? To może być cokolwiek, choćby ketchup.

– To nie ketchup – wycedziła Rosalee. – I nie jesteśmy w Krainie Czarów. To Portero. Potrafię rozpoznać krew.

W milczeniu chrupałam grzanekę.

– Czyja to krew?

*Powiedz jej*, zachęcał tatko. *Gwarantuję ci, że się nie przejmie.*

– Ciotki Ulli – przyznałam. – Uderzyłam ją wałkiem w głowę.

Ostrożnie zerknęłam na twarz Rosalee. Nic.

*Mówiłem ci.*

– I co? – ponagliła.

Naprawdę chciała usłyszeć szczegółowy opis?

– Jej krew trysnęła wszędzie wokół, zachlapała mi oczy i sukienkę. – Zamrugałam na samo wspomnienie. – Strasznie zapiekło. – Dotknęłam lekko plam. – Próbowałam je sprać, ale najwyraźniej...

– Hanno – mimo apatycznego nastroju Rosalee zwróciła się do mnie z niezwykłą troską, jakbym zamieniła się we wściekłe zwierzę, którego nie chciała sprowokować – czyżbyś zabiła swoją ciotkę?

Zjadłam resztę grzanki i oblizałam tłuszcz z palców.

– Chyba tak.